

STEPHEN KING

W MROCNIEJ,
TAM LĘDZIEJ



ALBATROS

ytuł oryginału:
YOU LIKE IT DARKER

Copyright © Stephen King 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: freepik (*wanna*); xfinitystock/freepik (*kinkieł*);
denisik11/Shutterstock (*panele ścienne*); Eric Iselee/Shutterstock,
Scott Delony/Shutterstock, Vladimir Turkenich/Shutterstock,
Nynke van Holten/Shutterstock, user27955914/freepik, andranik.h90/freepik,
wirestock/freepik, BayView/freepik, lupacaco/freepik, Techyart/freepik,
Mohammedn/freepik, mkmult/freepik, Student-In-Idk-5/freepik,
hellonijhumalaila/freepik, elements/freepik (*węże*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Dwóch utalentowanych skubańców

1

Mój ojciec – mój słynny ojciec – umarł w 2023 roku, w wieku dziewięćdziesięciu lat. Dwa lata przed śmiercią dostał mail od niezależnej pisarki, niejakej Ruth Crawford, z prośbą o wywiad. Przeczytałem mu tę wiadomość, podobnie jak wszystkie inne prywatne i biznesowe maile, bo wtedy nie używał już żadnych elektronicznych urządzeń – najpierw zrezygnował z komputera stacjonarnego, potem z laptopa i w końcu ze swojego ukochanego telefonu. Do końca miał dobry wzrok, ale twierdził, że od patrzenia na ekran iPhone’a boli go głowa. Podczas stypy po jego pogrzebie doktor Goodwin powiedział mi, że ojciec mógł mieć kilka miniudarów, które doprowadziły w końcu do tego dużego.

Mniej więcej w tym czasie, gdy zrezygnował z telefonu – czyli jakieś pięć, sześć lat przed śmiercią – przeszedłem na wcześniejszą emeryturę, rezygnując ze stanowiska kuratora oświaty hrabstwa Castle, żeby na cały etat zająć się tatą. Nie brakowało mi pracy. Co prawda ojciec miał gosposię, ale nocami i w weekendy wszystkie obowiązki spadały na mnie. Pomagałem mu ubierać się rano i rozbiierać wieczorem. Często zajmowałem się gotowaniem i sprzątałem, kiedy czasami nie zdążył w nocy do łazienki.

Miał też złotą rączkę, Jimmy’ego Griggsa, który zajmował się drobnymi pracami domowymi, ale ten dobiegał już wtedy osiemdziesiątki, musiałem więc robić te rzeczy, na które nie miał już sił:

od okładania mierzwą ukochanych klombów taty po przepychanie zatkanych rur. Nigdy nie braliśmy pod uwagę domu opieki, choć ojciec mógłby sobie pozwolić na najdroższą nawet placówkę; dzięki kilkunastu megabestsellerom, które wydał na przestrzeni czterdziestu lat, był naprawdę bardzo zamożny.

Ostatnią z jego *zajmujących cegieł* (Donna Tartt, „New York Times”) opublikowano, kiedy miał osiemdziesiąt dwa lata. Odbębnił wszystkie obowiązkowe wywiady i sesje zdjęciowe, a potem ogłosił, że kończy karierę pisarską. Prasie przekazał to w elegancki sposób, z *charakterystycznym dla siebie humorem* (Ron Charles, „Washington Post”), a do mnie powiedział: „Bogu dzięki, że koniec już z tymi bzdurami”. Z wyjątkiem wywiadu na wyłączność, którego udzielił Ruth Crawford, nigdy już nie wypowiadał się publicznie. Proszono go o to wiele razy, ale zawsze odmawiał; twierdził, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, w tym rzeczy, które prawdopodobnie powinien był zachować dla siebie.

„Kiedy udzielasz ciągle wywiadów, wcześniej czy później palniesz jakąś gafę, i to niejedną – wyznał mi kiedyś. – Takie cytaty żyją potem własnym życiem, a im jesteś starszy, tym łatwiej coś chlapanąć”.

Jego książki wciąż jednak się sprzedawały, więc trzeba było zajmować się interesami ojca. Omawiałem z nim umowy na wznowienia, koncepcje okładek i propozycje adaptacji filmowych czy telewizyjnych. Sumiennie czytałem mu wszystkie wiadomości z prośbami o wywiad, kiedy już sam nie mógł tego robić. Zawsze odmawiał i dotyczyło to również Ruth Crawford.

„Przekaż jej standardową odpowiedź, Mark: pani prośba mi pochlebia, ale nie, dziękuję”. Zawahał się jednak, bo ta propozycja była nieco inna od pozostałych.

Crawford chciała napisać artykuł o nim i jego wieloletnim przyjacielu, Davidzie „Butchu” La Verdierze, który zmarł w 2019 roku. Poleciałem z ojcem na jego pogrzeb na Zachodnie Wybrzeże wycharterowanym gulfstreamem. Tato zawsze liczył się z pieniędzmi – nie był skąpy, ale dość oszczędny – więc ogromny koszt tej podróży

wiele mówił o uczuciach, jakie żywił do człowieka, którego nazywałem niegdyś „wujkiem Butchem”. Uczucia te nie straciły na sile, choć obaj nie widzieli się od ponad dziesięciu lat.

Ojca poproszono, żeby przemówił na pogrzebie. Myślałem, że odmówi – jego niechęć do publicznych wystąpień dotyczyła nie tylko wywiadów – ale się zgodził. Nie wyszedł na podium; zabrał głos, stojąc pośród żałobników, wsparty na lasce. Zawsze był dobrym mówcą i nie zmieniło się to z wiekiem.

– Kiedy Butch i ja byliśmy dziećmi, jeszcze przed drugą wojną światową, chodziliśmy do jednoizbowej szkoły. Dorastaliśmy w małej miejscowości położonej przy gruntowej drodze; naprawialiśmy i remontowaliśmy tam samochody, uprawialiśmy różne sporty, a potem trenowaliśmy innych. Jako mężczyźni zajmowaliśmy się lokalną polityką i utrzymaniem miejscowego wysypiska śmieci... co, jak mi się teraz wydaje, niewiele się od siebie różni. Polowaliśmy, łowiliśmy ryby, latem gasiliśmy pożary traw, a zimą odśnieżaliśmy drogi. Teraz mogę przyznać, że przewróciliśmy przy tym całkiem sporo skrzynek na listy. Zналиśmy się, gdy nikt nie znał jego nazwiska... ani mojego... poza naszą miejscowością i okolicami. Powinienem był go odwiedzić ostatnimi laty, ale byłem zajęty własnymi sprawami. Myślałem, że mam jeszcze na to czas. Chyba zawsze tak myślimy. Ale potem czas się kończy. Butch był wspaniałym malarzem, ale też dobrym człowiekiem. Myślę, że to jest ważniejsze. Może nie wszyscy tu tak uważają i nie ma w tym nic złego, mają prawo. Rzecz w tym, że zawsze go chronilem, a on mnie.

Umilkł na chwilę i zamyślony, spuścił głowę.

– W moim miasteczku w Maine istnieje specjalne określenie na takich przyjaciół – dodał. – Trzymaliśmy się blisko.

Tak, trzymali się blisko i dotyczyło to również ich sekretów.

• • •

Ruth Crawford miała całkiem przyzwoite dossier – sprawdziłem. Publikowała artykuły, głównie biograficzne, w kilkunastu gazetach i czasopismach, przede wszystkim lokalnych i regionalnych

(„Yankee”, „Downeast”, „New England Life”), ale również kilku ogólnokrajowych, na przykład w „New Yorkerze”, w którym pisała o mrocznym miasteczku Derry. Wydawało się, że w przypadku Lairda Carmody’ego i Dave’a LaVerdiere’a ma już solidne podstawy, na których może oprzeć zaplanowany tekst. Można było to wnioskować już po jej wcześniejszych artykułach o tacie i wujku Butchu, chciała jednak pogłębić temat: dwaj mężczyźni z tej samej małej miejscowości w Maine zdobyli sławę w różnych dziedzinach działalności kulturalnej. Co więcej, obaj zdobyli ją, kiedy byli dobrze po czterdziestce, a więc w wieku, gdy większość mężczyzn i kobiet porzuca już młodzieńcze ambicje i marzenia – gdy zdążyła, jak ujął to kiedyś mój ojciec, zadomowić się i urządzić w swojej rutynie. Ruth chciała się dowiedzieć, jak doszło do tak niezwykłego zbiegu okoliczności... zakładając, że rzeczywiście był to zbieg okoliczności.

– Musiał być jakiś powód? – spytał tata, gdy przeczytałem mu jej wiadomość. – Czy to właśnie sugeruje? Pewnie nigdy nie słyszała o bliźniakach, którzy tego samego dnia wygrali na loterii w różnych stanach.

– Cóż, to może jednak nie był wyłącznie zbieg okoliczności – odparłem. – Zakładając oczywiście, że nie zmyśliłeś tej historii.

Odczekałem chwilę, by dać mu czas na komentarz, odpowiedział mi jednak tylko uśmiechem, który mógł znaczyć wszystko. Albo nic. Drążyłem więc dalej.

– No wiesz, ci bliźniacy mogli dorastać w domu, w którym hazard był czymś bardzo ważnym. Wtedy nie byłoby to aż tak nieprawdopodobne, prawda? Poza tym przecież wcześniej musieli kupić mnóstwo losów i nic nie wygrać.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz, Mark – odpowiedział tata, wciąż się uśmiechając. – Jeśli w ogóle zmierzasz do czegoś konkretnego...

– Chodzi mi tylko o to, że rozumiem, dlaczego ta dziennikarka chciała się dowiedzieć czegoś więcej o tobie i Davie, dwóch facetach z tej samej pipidówki, którzy rozwinęli skrzydła dopiero w środku życia. Czy to mogło być... przeznaczenie?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, pocierając biały zarost na pobrużdżonym policzku. Pomyślałem, że może jednak zmienić zdanie i zgodzi się na rozmowę z dziennikarką, lecz pokręcił głową.

– Napisz jej po prostu uprzejmie, jak ty to potrafisz, że jednak podziękuję i że życzę jej powodzenia w przyszłych przedsięwzięciach.

Tak też zrobiłem, choć coś w zachowaniu i wyglądzie taty nie dawało mi spokoju. Wyglądał jak człowiek, który mógłby sporo powiedzieć o tym, jak on i jego przyjaciel Butch dorobili się majątku i sławy... ale postanowił tego nie robić. Postanowił zatrzymać to dla siebie.

• • •

Ruth Crawford była zapewne rozczarowana odmową mojego taty, ale nie porzuciła tematu. Nie porzuciła go również wtedy, gdy i ja nie zgodziłem się na wywiad, tłumacząc, że ojciec z pewnością nie życzyłby sobie tego, a poza tym wiem jedynie tyle, że zawsze lubił opowieści. Dużo czytał; nie ruszał się nigdzie bez książki w miękkiej oprawie, wciśniętej do tylnej kieszeni spodni. Wieczorami opowiadał mi cudowne historie, czasami zapisywał je w kołonoatniku. A jeśli chodzi o wujka Butcha? Namalował mural w moim pokoju – chłopców grających w piłkę, chłopców łapiących świetliki, chłopców z wędkami. Ruth oczywiście chciała to zobaczyć, ale mural został zamalowany dawno temu, gdy wyrosłem już z takiej dziecinady.

Kiedy najpierw kariera taty, a potem wujka Butcha wystartowały niczym dwie rakiety, studiowałem na Uniwersytecie Stanu Maine, gdzie ukończyłem metodykę nauczania, bo jak głosi stare powiedzenie, ci, którzy nie potrafią nic robić, uczą, a ci, którzy nie potrafią uczyć, uczą nauczycieli. Sukces ojca i jego najlepszego przyjaciela były, jak już wspominałem, takim samym zaskoczeniem dla mnie, jak i dla wszystkich pozostałych mieszkańców Harlow. Inne stare powiedzenie mówi o tym, że nic dobrego nie może wyjść z Nazaretu.

Napisałem o tym w liście do pani Crawford, bo było mi głupio

– trochę – że nie zgodziłem się na wywiad. Dodałem, że ojciec i wujek z pewnością mieli marzenia, jak większość ludzi, i jak większość ludzi zachowywali je dla siebie. Kiedyś zakładałem, że opowieści taty i wesołe obrazy wujka Butcha to tylko hobby, jak struganie w drewnie czy gra na gitarze, dopóki nie zaczęli na tym naprawdę zarabiać. Napisałem to wszystko, a potem dodałem odręczne postscriptum: *I chwala im za to!*

• • •

W hrabstwie Castle jest dwadzieścia siedem miejscowości. Castle Rock jest wśród nich największa, a Gates Falls druga co do wielkości. Harlow, gdzie dorastałem ja, syn Lairda i Sheili Camodych, nie mieści się nawet w pierwszej dziesiątce. Rozrosło się jednak znacząco od czasów mojego dzieciństwa i czasami ojciec – który również spędził całe życie w Harlow – mówił, że nie poznaje tego miejsca. Chodził do jednoizbowej szkoły – za moich czasów były już cztery sale (z dwiema klasami w każdej). Teraz budynek podstawówki ma osiem sal i jest wyposażony w ogrzewanie geotermalne.

Kiedy tato był dzieckiem, jedyną asfaltową drogą w mieście była Route 9 prowadząca do Portlandu. Gdy ja pojawiłem się na świecie, w Harlow zostały jeszcze tylko dwie drogi gruntowe, Deep Cut i Methodist Road. Teraz wszystkie są już asfaltowe. W latach sześćdziesiątych w mieście działał tylko jeden sklep, U Browniego, gdzie starsi faceci przesiadywali wokół beczki z korniszonami. Teraz mamy kilka sklepów i coś w rodzaju centrum (jeśli można tak to nazwać) przy Quaker Hill Road. Są też dwa salony urody, pizzeria i – trudno w to uwierzyć, ale jednak – salon pedicure’u, który radzi sobie chyba całkiem nieźle. Wciąż jednak nie ma tu szkoły średniej – to się nie zmieniło. Dzieciaki z Harlow mają do wyboru licea w Castle Rock, w Gates Falls lub liceum Mountain View, znane jako Akademia Christera. Jesteśmy typowymi wsiokami; jeździmy pick-upami, słuchamy country, pijemy kawę z brandy i głosujemy na republikanów. Właściwie nie mamy się czym pochwalić prócz dwóch facetów, którzy stąd pochodzą: mojego ojca i jego kumpla Butcha

LaVerdiere’a. Dwóch utalentowanych skubańców, jak ujął to tata podczas krótkiej rozmowy przez płot z Ruth Crawford.

„Twoi rodzice spędzili tu całe życie? – mógłby zapytać ktoś z miasta. – A potem TY spędziłeś tu całe życie? Co jest, odbiło ci?”

Nie.

Robert Frost powiedział, że dom to miejsce, w którym po prostu muszą cię przyjąć, gdy tam pojedziesz. To także miejsce, od którego zaczynasz, a jeśli należysz do szczęśliwców, to również tam kończysz. Butch umarł w Seattle, przybysz w obcym sobie miejscu. Może mu to nie przeszkadzało, ale trudno się nie zastanawiać, czy na końcu nie wołałby wąskiej gruntowej drogi i lasu nad jeziorem zwanego Trzydziestomilowym Lasem.

• • •

Choć badania – śledztwo – Ruth Crawford skupiały się głównie na Harlow, miejscu, gdzie dorastali bohaterowie jej artykułu, nie ma tu żadnego hotelu ani nawet pensjonatu, więc jej bazą wypadową był motel Gateway w Castle Rock. W Harlow działa za to dom opieki, gdzie Ruth przeprowadziła wywiad z niejakim Aldenem Toothakerem, który chodził do szkoły z moim tatą i jego przyjacielem. To właśnie Alden powiedział jej, skąd wzięła się ksywa Dave’a. Okazało się, że zawsze miał w kieszeni tubkę pomady Lucky Tiger Butch Wax, którą często smarował włosy, by stały prosto z przodu, zgodnie z ówczesną modą. Nosił taką fryzurę (czy też to, co z niej zostało) do końca życia. Stała się jego znakiem rozpoznawczym. A jeśli chodzi o pytanie, czy już jako sławny człowiek również trzymał w kieszeni pomadę Butch Wax, to wiem tyle samo co wy. Nie mam pojęcia, czy w ogóle jeszcze ją produkują.

– Kumplowali się w szkole średniej – powiedział jej Alden. – Ot, dwóch chłopaków, którzy lubili chodzić na ryby albo na polowanie ze swoimi ojcami. Dorastali, ciężko pracując, i nie spodziewali się niczego innego. Pewnie jak będzie pani rozmawiała z ludźmi w moim wieku, niektórzy będą mówić, że od razu wiedzieli, że ci dwaj daleko zajdą, ale ja nie jestem jednym z nich. Byli całkiem

zwyczajni, dopóki nie przestali tacy być.

Laird i Butch chodzili do liceum w Gates Falls. Skierowano ich na zajęcia nazywane wtedy „edukacją ogólną”, przeznaczone dla dzieciaków, które nie zamierzały iść na studia. Nikt nie ogłosił oficjalnie, że nie są dość bystrzy, żeby myśleć o studiach; po prostu tak założono. Wybrali kursy o nazwie Matematyka Praktyczna i Angielski Biznesowy; w podręcznikach do nich na kilku stronach wyjaśniano, jak prawidłowo napisać oficjalny list, i dołączono nawet odpowiednie kopie. Dużo czasu spędzali w stolarni i w warsztacie samochodowym. Obaj grali w futbol amerykański i koszykówkę, choć podczas meczów mój tata większość czasu spędzał na ławce rezerwowych. Obaj mieli średnią ocen dobrą i razem skończyli szkołę ósmego czerwca 1951 roku.

Dave LaVerdiere zaczął pracować ze swoim ojcem hydraulikiem. Laird Carmody i jego tata naprawiali auta na rodzinnej farmie i sprzedawali je do komisju Pee wee's Car Mart w Gates Falls. Mieli też stragan z warzywami przy Portland Road, który przynosił całkiem przyzwoite zyski.

Dave nie dogadywał się najlepiej ze swoim ojcem, w końcu zaczął więc pracować na własną rękę; przetykał odpływy, układał rury, a czasami kopał studnie w Gates Falls i Castle Rock (jego ojciec obsługiwał całe Harlow i nie zamierzał dzielić się z nim klientelą). W 1954 roku dwaj przyjaciele założyli firmę L&D Haulage, która zajmowała się głównie wywożeniem śmieci na wysypisko. W 1955 kupili wysypisko, którego miasto chętnie się pozbyło. Oczyszczili je, przeprowadzali kontrolowane spalania, wprowadzili prymitywny system recyklingu i dbali, by w śmieciach nie zaległy się szczury czy robactwo. Miasto wypłacało im pensję stanowiącą całkiem przyzwoity dodatek do pieniędzy, które zarabiali. Złom, szczególnie drut miedziany, stanowił dodatkowe źródło dochodu. Mieszkańcy Harlow nazywali ich Śmieciowymi Bliźniakami, ale Al-den Toothaker (i inni starszycy, którzy pamiętali jeszcze tamte czasy) zapewnił Ruth Crawford, że były to niewinne żarty i tak też odbierali je Laird i Dave.

Wysypisko, które miało dwa i pół hektara powierzchni, otaczał wysoki drewniany płot. Dave namalował na nim scenki z miejsciego życia i co roku dodawał kolejne. Choć płotu już dawno nie ma (a wysypisko zastąpiono składowiskiem odpadów), zostały zdjęcia. Malowidła przypominały późniejsze prace Dave'a. Przedstawiały scenkę ze starszymi paniami podczas wspólnego szydełkowania, która łączyła się ze sceną z meczu baseballowego, a ta przechodziła w karykatury dawno już nieżyjących mieszkańców Harlow i obrazy z wiosennych nasadzeń oraz jesiennych zbiorów. Wujek Butch przedstawił na płocie wszystkie aspekty prowincjonalnego życia, ale dodał też Jezusa, za którym idą apostołowie (na samym końcu Judasz z wrednym uśmieszkiem na twarzy). Właściwie trudno uznać te obrazy za coś nadzwyczajnego, były jednak pomysłowe i zabawne. Można powiedzieć, że były zwiastunami.

Wkrótce po śmierci Dave'a obraz jego autorstwa, przedstawiający Elvisa Presleya i Marilyn Monroe, którzy trzymają się za ręce i idą po posypanej trocinami podłodze podczas prowincjonalnego festynu, sprzedał się za trzy miliony dolarów. Był tysiąc razy lepszy od malowideł na płocie wokół wysypiska, ale doskonale by do nich pasował; cechowało go to samo zwariowane poczucie humoru, podszyte rozpaczą i – być może – pogardą. Obrazki na płocie były pakiem, *Elvis & Marilyn* – kwiatem.

Wujek Butch nie ożenił się, w odróżnieniu od mojego ojca. W szkole średniej tata miał dziewczynę, Sheilę Wise. Wyjechała na studia do Stanowego Seminarium Nauczycielskiego w Vermontcie, a kiedy wróciła jako dyplomowana nauczycielka, by uczyć piąte i szóste klasy w podstawówce w Harlow, odkrył z radością, że wciąż jest panną. Zabiegał o jej względy i zdobył je. Pobrali się w sierpniu 1957 roku. Dave LaVerdiere był jego drużbą. Ja pojawiłem się na świecie rok później, a najlepszy przyjaciel taty został moim wujkiem Butchem.

• • •

Czytałem recenzję pierwszej książki ojca, *Burza z piorunami*;

recenzent napisał: *Na pierwszych stu stronach pełnej napięcia opowieści pana Carmody'ego niewiele się dzieje, ale czytelnik nie może się od niej oderwać, bo w tle słychać skrzypce.*

Pomyślałem, że to bardzo celna metafora. Ruth Crawford raczej nie słyszała skrzypiec w historiach o moim tacie i wujku Butchu; obraz odmalowany przez Aldena i innych mieszkańców Harlow przedstawiał dwóch zwykłych facetów, bardzo przyzwoitych, prawych i z gruntu uczciwych. Byli ludźmi ze wsi, którzy prowadzili wiejskie życie. Jeden się ożenił, a drugi był „zaprzysięgłym kawalerem”, jak mówiono w tamtych czasach, choć nikt nie mógłby się doszukać w jego życiu prywatnym choćby cienia skandalu.

Młodsza siostra Dave'a, Vicky, zgodziła się na rozmowę z dziennikarką. Powiedziała jej, że czasami Dave jeździł „do miasta” – czyli do Lewistonu – gdzie odwiedzał kluby z muzyką na żywo przy Lisbon Street.

– Najlepiej bawił się w Holly – opowiadała, mając na myśli klub Holiday Lounge (którego już dawno nie ma). – Szczególnie jeśli grała tam Little Jonna Jaye. O tak, był w niej zadurzony po uszy. Nigdy nie przyprowadził jej do domu... nie miał tyle szczęścia... ale nie zawsze wracał sam.

Tu Vicky zrobiła pauzę, jak opowiadała mi później Ruth, po czym dodała:

– Wiem, co może pani sobie myśleć, panno Crawford, większość ludzi myśli teraz podobnie, jeśli mężczyzna spędza życie bez kobiety, ale zapewniam panią, że tak nie było. Owszem, mój brat został sławnym artystą, ale mogę przysiąc, że nie był gejem.

• • •

Obaj przyjaciele byli powszechnie lubiani; wszyscy tak mówili. I byli dobrymi sąsiadami. Kiedy Philly Loubird dostał ataku serca i nie zdążył zebrać z pola siana, a właśnie nadciągała burza, tata zawiózł go do szpitala w Castle Rock, podczas gdy Butch skrzyknął kilku mężczyzn, żeby pomagali mu przy przewozie śmieci, a potem dokończeniu zbierania siana, nim spadły pierwsze krople deszczu.

Obaj gasili płonące trawy i mniejsze pożary razem z miejscowym oddziałem Ochotniczej Straży Pożarnej. Kiedy tata nie miał zbyt wielu aut do naprawy ani nie pracował na wysypisku, chodził z moją mamą po domach i zbierał pieniądze na Fundusz dla Biednych, jak to wówczas nazywano. Zarówno on, jak i Dave prowadzili treningi dla miejscowych dzieciaków. Wiosną piekli razem świniaka na festyn Ochotniczej Straży Pożarnej, a na koniec lata organizowali wspólnego grilla.

Zwykli ludzie ze wsi prowadzący wiejskie życie.

Żadnych skrzypiec.

Dopóki nie zagrała cała orkiestra.

• • •

O wielu spośród tych rzeczy wiedziałem już wcześniej. Więcej dowiedziałem się od Ruth Crawford, gdy spotkaliśmy się w Korner Koffee Kup, naprzeciwko motelu Gateway. Zaledwie przecnicę dalej znajdowała się poczta, na której odbierałem korespondencję taty, a wraz z nią nieraz całkiem spore pieniądze. Potem zawsze wpadałem do Koffee Kup. Java jest tam przyzwoita, choć bez fajerwerków, ale muffiny z jagodami... Nigdy nie jedliście lepszych.

Przeglądałem właśnie pocztę, oddzielając ziarna od plew, gdy ktoś spytał:

– Mogę się przysiąść?

Była to Ruth Crawford, szczupła i schludna, w białych spodniach, różowej koszulce bez rękawów i dopasowanej kolorem maseczce na twarzy – działo się to w pierwszym roku covidu. Nie czekając na odpowiedź, usiadła w moim boksie po drugiej stronie stolika, co skwitowałem głośnym śmiechem.

– Nie poddaje się pani, prawda?

– Nieśmiałe dziewczęta nie dostają Nobla – odparła i zdjęła maseczkę. – Mają tu dobrą kawę?

– Nie najgorszą. O czym z pewnością pani wie, skoro mieszka pani po drugiej stronie ulicy. Muffiny są lepsze. Ale nadal nie zgadzam się na wywiad. Przykro mi, pani Crawford, nie mogę tego

zrobić.

Do stolika podeszła kelnerka – Suzie McDonald. Spytałem ją, czy nadal chodzi na kursy wieczorowe. Uśmiechnęła się pod maseczką i skinęła głową.

Ruth i ja zamówiliśmy kawę i muffiny.

– Zna pan wszystkich w tych trzech miasteczkach? – spytała dziennikarka, kiedy Suzie już odeszła.

– Nie wszystkich. Kiedyś znałem więcej, znacznie więcej ludzi, kiedy byłem jeszcze kuratorem oświaty hrabstwa. Wszystko zostaje między nami, tak?

– Oczywiście.

– Suzie zaszła w ciążę, gdy miała siedemnaście lat, więc rodzice wyrzucili ją z domu. Świętoszki, Kościół Chrystusa Odkupiciela. Zamieszkała u ciotki w Gates Falls. Skończyła wieczorową szkołę średnią i chodzi na kursy dla pracujących organizowane przez College Batesa. Chce studiować weterynarię. Myślę, że jej się uda, a jej córeczka świetnie sobie radzi. A co u pani? Dobrze się pani bawi? Dowiedziała się pani czegoś o moim tacie i wujku Butchu?

Uśmiechnęła się.

– Dowiedziałam się, że z pana ojca był niezły rajdowiec, zanim ożenił się z pana matką. A właśnie... wyrazy współczucia.

– Dziękuję – odparłem, choć tego lata, w 2021 roku, mama nie żyła już od pięciu lat.

– Pana ojciec rozbił dodge’a jakiegoś starszego farmera i na rok stracił prawo jazdy. Wiedział pan o tym?

Nie wiedziałem i przyznałem się do tego.

– Dowiedziałam się też, że Dave LaVerdiere lubił bary w Lewistonie i durzył się w miejscowej śpiewaczce, która nosiła pseudonim Little Jonna Jaye. Podobno po aferze Watergate obraził się na partię republikańską, ale pana ojciec nigdy nie zmienił poglądów politycznych.

– Nie, tata będzie głosował na republikanów do samej śmierci. Ale... – Pochyliłem się do przodu. – Nadal wszystko zostaje między nami?

– Jasne! – Uśmiechała się, lecz jej oczy aż błyszczały z zaciekawienia.

– Nie głosował na Trumpa za drugim razem. – Zniżyłem głos do szeptu. – Nie mógł się przemóc, żeby zagłosować na Bidena, ale miał już po dziurki w nosie Donalda. Mam nadzieję, że zabierze pani ze sobą tę informację do grobu.

– Przysięgam. Dowiedziałam się też, że Dave wygrywał coroczny konkurs w jedzeniu szarlotki w Harlow, od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do sześćdziesiątego szóstego, kiedy zrezygnował z udziału w konkursie. I że pana ojciec aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego siedział na kaczym stołku podczas corocznego festynu historycznego. Znalazłam zabawne zdjęcia, na których jest ubrany w staromodny strój kąpielowy i melonik... wodoodporny zapewne.

– Strasznie się tego wstydziłem. – Westchnąłem. – W szkole wszyscy się ze mnie nabijali.

– Dowiedziałam się też, że kiedy Dave wyjeżdżał na Zachodnie Wybrzeże, spakował wszystko, co uznał za potrzebne, do sakw przy swoim harleyu davidsonie i po prostu odjechał. Pana rodzice sprzedali wszystko, co zostawił, na wyprzedaży garażowej i wysłali mu pieniądze. A pana ojciec sprzedał dom Dave’a w jego imieniu.

– Z całkiem niezłym zyskiem. – Pokiwałem głową. – I bardzo dobrze. W tym czasie wujek Butch zajmował się wyłącznie malowaniem i korzystał z tych pieniędzy, dopóki jego obrazy nie zaczęły się sprzedawać.

– A pana ojciec zajmował się już wtedy pisaniem.

– Tak, i nadal zarządzał wysypiskiem śmieci. Sprzedał je miastu dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Kupił też komis Peewee’s Car Mart, a potem go sprzedał. I oddał zysk gminie.

– Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówił. – Byłem jednak pewien, że mama dobrze o tym wiedziała.

– Tak właśnie zrobił, bo i czemu nie? Nie potrzebował pieniędzy, prawda? W tym czasie pisarstwo było już jego głównym

zajęciem, a pracę dla miasta traktował jako hobby.

– Dobrze uczynki nigdy nie są tylko hobby – zaznaczyłem.

– Ojciec pana tego nauczył?

– Nie, matka.

– A co ona myślała o tej nagłej odmianie waszego losu? Nie wspominając o zmianie, która zaszła w życiu pana wujka?

Zastanawiałem się nad tym, gdy Suzie podawała nam muffiny i kawę.

– Wolałbym w to nie wchodzić, pani Crawford.

– Proszę mówić mi Ruth.

– Dobrze, Ruth... Ale mimo wszystko nie chcę tego ruszać.

Posmarowała muffina masłem. Patrzyła na mnie z czymś w rodzaju zaciekawionego zdumienia – nie wiem, jak to inaczej nazwać – co trochę mnie peszyło.

– Mam już dość materiału, żeby napisać przyzwoity artykuł i sprzedać go do „Yankee” – powiedziała. – Dziesięć tysięcy słów, lokalny koloryt i zabawne anegdoty. Wszystkie te bzdury o Maine, które ludzie lubią czytać, lokalne powiedzonka. Mam zdjęcia murali Dave’a LaVerdiere’a na płocie wokół wysypiska śmieci. Mam zdjęcia twojego ojca, sławnego pisarza, ubranego w strój kąpielowy z lat dwudziestych ubiegłego wieku, który siedzi na drewnianym krześle, a miejscowi próbują wrzucić go do wielkiej beczki z wodą.

– Dwa dolary za trzy rzuty w dźwignię, która uruchamiała zapadnię. Cały zysk przeznaczony na miejscowe organizacje charytatywne. Wszyscy krzyczeli z radości, kiedy wpadał do wody.

– Mam zdjęcie, na którym serwują kurczaka turystom, obaj w fartuchach i czapkach z napisem MOŻESZ POCAŁOWAĆ KUCHARZA.

– Mnóstwo kobiet to zrobiło.

– Mam opowieści o wyprawach na ryby i polowania, o dobrych uczynkach, jak choćby zebranie siana z pola człowieka, który dostał zawału. Mam historię o tym, jak Laird ścigał się kradzionym samochodem i stracił prawo jazdy. Mam to wszystko, a jednocześnie nie mam nic... to znaczy nie mam nic konkretnego. Ludzie uwielbiają o

nich opowiadać: „Znałem Lairda Carmody’ego, gdy...”, „Znałam Butcha LaVerdiere’a, kiedy...”, ale żadna z tych historii nie tłumaczy, dlaczego stali się tym, kim się stali. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Odparłem, że rozumiem.

– Ty musisz coś o tym wiedzieć, Mark. Co się stało, do cholery? Nie powiesz mi?

– Tu nie ma o czym mówić. – Kłamałem, a ona chyba to wyczuwała.

• • •

Pamiętam telefon, który odebrałem jesienią 1978 roku. Zasapana dozorczyni akademika wspięła się na drugie piętro Roberts Hall, by powiedzieć mi, że dzwoni moja mama i że wydaje się zdenerwowana. Zbiegłem do kanciapy pani Hathaway, bojąc się tego, co mogę usłyszeć.

– Mamo? Wszystko w porządku?

– Tak... Nie... Nie wiem... Coś stało się twojemu ojcu, kiedy był na polowaniu w Trzydziestomilowym Lesie. – Potem, jakby po namyśle, dodała: – I Butchowi.

Serce podeszło mi do gardła; miałem wrażenie, że w ślad za nim przesuwały się moje jądra i żołądek.

– Mieli wypadek? Są ranni? Czy ktoś... – Nie potrafiłem dokończyć, jakby samo pytanie, czy ktoś zginął, mogło doprowadzić do czyjejś śmierci.

– Nie, są cali i zdrowi... fizycznie zdrowi. Ale coś się wydarzyło. Twój ojciec wygląda tak, jakby zobaczył ducha. A Butch... tak samo. Powiedzieli mi, że zabłądzili, ale to bujda. Ci dwaj znają Trzydziestomilowy Las jak własną kieszeń. Chciałabym, żebyś przyjechał do domu, Mark. Nie teraz, tylko w weekend. Może ty coś od niego wyciągniesz.

Lecz kiedy pytałem o to tatę, powtarzał z uporem, że po prostu się zgubili, w końcu trafili na strumień Jilasi (Jilasi to zamerykanizowana, przekręcona wersja słowa z języka Mikmaków, oznaczającego

„dzień dobry”) i wyszli z lasu za cmentarzem w Harlow, ot, cała historia.

Podobnie jak mama nie uwierzyłem w te bzdury. Wróciłem na uczelnię i jeszcze przed przerwą świąteczną przysłała mi do głowy okropna myśl: że jeden z nich postrzelił śmiertelnie jakiegoś myśliwego – co w sezonie łowieckim zdarza się kilka razy do roku – i zakopali jego ciało w lesie.

W Wigilię, gdy mama poszła już spać, w końcu zebrałem się na odwagę i spytałem tatę, czy tak właśnie było. Siedzieliśmy w salonie i patrzyliśmy na choinkę. Ojciec najpierw chyba się przestraszył, a potem... roześmiał.

– Dobry Boże, nie! Gdyby coś takiego się stało, poinformowalibyśmy o tym władze i ponieśliśmy konsekwencje. Po prostu załóżdaliśmy. Zdarza się nawet najlepszym, synu.

Przypomniałem sobie, jak skwitowała to tłumaczenie mama, i omal nie wypowiedziałem tego słowa na głos: bujda.

• • •

Ojciec miał specyficzne, zjadliwe poczucie humoru i dał mu wyraz wtedy, gdy przyjechał do nas jego doradca podatkowy z Nowego Jorku i powiedział mu, że jego majątek netto wynosi ponad dziesięć milionów dolarów; było to mniej więcej w czasie, gdy opublikowano ostatnią powieść taty. Ojciec nie mógł się oczywiście równać pod tym względem z J.K. Rowling (czy nawet z Jamesem Pattersonem), ale była to spora suma. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym powiedział:

– Wygląda na to, że książki to nie tylko element wystroju mieszkania.

Doradca podatkowy wydawał się skonfundowany, ale ja zrozumiałem, co tata miał na myśli, i roześmiałem się.

– Nie zostawię cię bez grosza przy duszy – zwrócił się do mnie tata.

Zauważył chyba, jak się skrzywiłem, albo po prostu dotarło do niego to, co wynikało z jego słów. Pochylił się i poklepał mnie po

ręce, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i coś mnie gnębiło.

Dawno już przestałem być dzieckiem, ale wciąż byłem samotny. W 1988 roku ożeniłem się z Susan Wiggins, prawniczką z biura prokuratora okręgowego. Mówiła, że chce mieć dzieci, ale ciągle to odkładała. Przed dwunastą rocznicą ślubu (kupiłem jej z tej okazji sznur pereł) oświadczyła, że zostawia mnie dla innego mężczyzny. Ta historia jest znacznie bardziej skomplikowana, jak pewnie zawsze w takich wypadkach, ale nie musicie wiedzieć o niej nic więcej, bo to nie jest opowieść o mnie – a przynajmniej niezupełnie. W każdym razie kiedy ojciec powiedział, że nie zostawi mnie bez grosza przy duszy, natychmiast zacząłem się zastanawiać – pewnie zastanawialiśmy się nad tym obaj – komu zostawię dziesięć milionów, czy też to, co z nich zostanie, gdy przyjdzie na mnie pora.

Zapewne Dziewiętnastemu Okręgowi Szkolnemu Stanu Maine. Szkoły zawsze potrzebują pieniędzy.

• • •

– Na pewno to wiesz – powiedziała Ruth tamtego dnia w Koffee Kup. – Musisz to wiedzieć. Wszystko zostaje tylko między nami, pamiętasz?

– Tylko między nami czy nie, naprawdę nie wiem – odparłem. Wiedziałem jedynie, że coś stało się w listopadzie 1978 roku, gdy tato i wujek Butch wybrali się na coroczne polowanie do Trzydziestomilowego Lasu. Po tym wydarzeniu mój ojciec został autorem grubaśnych bestsellerowych powieści, które krytycy określali czasem jako tomiszcza, a Dave LaVerdiere zyskał sławę najpierw jako ilustrator, a potem malarz, który łączy *surrealizm Fridy Kahlo z amerykańskim romantyzmem Normana Rockwella* („ArtReview”).

– Może poszli na rozstaje dróg – rzuciła Ruth. – No wiesz, tak jak to niby zrobił Robert Johnson. Zawarli pakt z diabłem.

Parsknąłem śmiechem, choć prawdę mówiąc, i mnie przychodziły do głowy podobne myśli, zwłaszcza w burzowe letnie noce, gdy grzmoty nie dawały mi spać.

– Gdyby tak rzeczywiście zrobili, kontrakt musiałby obejmować

znacznie więcej niż siedem lat. Pierwsza książka taty została wydana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, w tym samym roku, w którym na okładce „Time’a” ukazał się portret Johna Lennona autorstwa Dave’a.

– Czyli czterdzieści lat w przypadku LaVerdiere’a – rozmyślała głośno Ruth. – A twój ojciec zakończył już karierę, ale wciąż świetnie się trzyma.

– „Świetnie” to chyba za dużo powiedziane – odparłem, myśląc o zasikanej pościeli, którą zmieniałem rano, nim wyruszyłem do Castle Rock. – Ale rzeczywiście jakoś się trzyma. A co do ciebie... Jak długo zamierzasz jeszcze zostać tutaj i węszyć za jakimiś sensacyjnymi plotkami o Carmodym i LaVerdierze?

– Prawdę mówiąc, nie zabrzmiało to najlepiej.

– Przepraszam. Kiepski żart.

Zjadła już muffina (mówiłem wam, że są dobre) i rozgniatała okruszki palcem wskazującym.

– Jeszcze parę dni – odpowiedziała po chwili. – Chcę wrócić do domu opieki w Harlow i może porozmawiać jeszcze raz z siostrą La Verdiere’a, jeśli się zgodzi. Wyjadę stąd z materiałem, który na pewno dobrze się sprzeda, ale nie z tym, czego naprawdę chciałam.

– Może tego, czego chciałaś, po prostu nie da się znaleźć. Może kreatywność ma pozostać tajemnicą.

Zmarszczyła nos.

– Zachowaj te swoje metafizyczne przemyślenia na inną okazję – powiedziała. – Mogę za nas zapłacić?

– Nie.

• • •

Wszyscy w Harlow znają nasz dom przy Benson Street. Czasami fani książek taty spoza miasta, którzy przyjeżdżają tu na wakacje, przystają na chwilę, żeby go obejrzeć, i zwykle są rozczarowani: ot, typowy dla Nowej Anglii budynek, z dwuspadowym dachem, stojący w miasteczku pełnym tego rodzaju domostw. Nieco większy od innych i oddzielony od ulicy sporym trawnikiem, upstrzonym

klombami. Kwiaty zasadziła tu moja matka i pielęgnowała je aż do śmierci. Teraz podlewa je i przycina Jimmy Griggs, nasza złota rączka. Nie rusza tylko liliowców rosnących wzdłuż parkanu. Tato lubi zajmować się nimi sam, bo były to ulubione kwiaty mamy. Kiedy ojciec je podlewa albo tylko chodzi wzdłuż nich, kuśtykając lekko i podpierając się laską, odnoszę wrażenie, że robi to, by przypomnieć sobie kobietę, do której zwracał się zawsze słowami „moja kochana Sheilo”. Czasami pochyła się, by dotknąć kwiatu – płatków, które wyrastają z bezlistnych łodyg zwanych głąbikami. Kwiaty mogą być żółte, różowe albo pomarańczowe, ale tato lubi szczególnie czerwone, bo – jak mówi – przypominają mu policzki mamy, gdy się rumieniła. Występując publicznie, zachowywał się jak człowiek zrzedliwy i nieco cyniczny – do czego dochodziło jeszcze zjadliwe poczucie humoru – lecz w głębi duszy miał romantyczne, czasami wręcz ckiwe usposobienie. Wyznał mi kiedyś, że ukrywał tę część swojej natury, bo łatwo ją zranić.

Ruth wiedziała oczywiście, gdzie jest nasz dom. Widziałem kilkakrotnie, jak przejeżdżała obok niego małą corollą; raz nawet przystanęła, by zrobić parę zdjęć. Z pewnością wiedziała, że tata najczęściej chodził wzdłuż płotu i przyglądał się kwiatom późnym rankiem, a jeśli jeszcze nie dotarło do was, że była bardzo zdeterminowaną kobietą, to znaczy, że nie sprawdzam się jako pisarz.

Dwa dni po naszej rozmowie w Koffee Kup wjechała powoli na Benson Street, lecz zamiast minąć nasz dom, zjechała na pobocze i zatrzymała się tuż obok znaków stojących po obu stronach bramy. Napis na jednym z nich głosi PROSZĘ USZANOWAĆ NASZĄ PRYWATNOŚĆ, a na drugim PAN CARMODY NIE DAJE AUTOGRAFÓW. Jak zwykle towarzyszyłem tacie, gdy oglądał liliowce; tego lata, w 2021 roku, skończył osiemdziesiąt osiem lat i nawet gdy chodził o lasce, zdarzało mu się zachwiać.

Ruth wysiadła z samochodu i podeszła do ogrodzenia, ale nawet nie próbowała otworzyć bramy. Była uparta, owszem, lecz nie przekraczała pewnych granic. Podobało mi się to w niej. Do diabła, w ogóle mi się podobała. Nosila maseczkę w kwiaty. Tato nie

używał maseczek; mówił, że utrudniają mu oddychanie, nie miał jednak nic przeciwko szczepieniom.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale i z lekkim uśmiechem. Prezentowała się naprawdę atrakcyjnie, zwłaszcza w świetle letniego poranka. Miała na sobie bluzkę w kratę, dzinsową spódnicę, białe skarpetki i sportowe buty; włosy ściągnęła w kucyk, niczym nastolatka.

– Jak pani zapewne zauważyła, nie rozdaję autografów.

– Och, nie sądzę, by chodziło jej o autograf – powiedziałem, rozbawiony jej bezczelnością.

– Nazywam się Ruth Crawford, proszę pana. Pisałam do pana z prośbą o wywiad. Odmówił mi pan, ale pomyślałam, że spróbuję jeszcze raz, osobiście, zanim wrócę do Bostonu.

– Ach, tak... – Mój ojciec pokiwał głową. – Chodzi o mnie i Butcha, prawda? I nadal chce to pani przedstawiać jako zbieg okoliczności?

– Tak. Choć nie sądzę, że dotarłam do jądra sprawy.

– Do jądra ciemności – rzucił tata i roześmiał się. – Taki literacki żart. Mam ich jeszcze trochę w zanadrzu, choć zdążyły się już zakurzyć, odkąd przestałem udzielać wywiadów. I zamierzam trzymać się tego postanowienia, choć wygląda pani na miłą kobietę, a Mark ma o pani dobre zdanie.

Byłem zaskoczony i zadowolony, gdy wyciągnął do niej rękę nad płotem. Ruth również wydawała się zaskoczona; ujęła jednak jego dłoń, uważając, by nie ścisnąć jej za mocno.

– Dziękuję panu. Czułam, że muszę spróbować. A przy okazji, ma pan piękne kwiaty. Uwielbiam liliowce.

– Naprawdę czy tylko tak pani mówi?

– Naprawdę.

– Moja żona też je uwielbiała. A ponieważ była pani na tyle miła, by skomplementować to, co kochała moja Sheila, zaproponuję pani bajkową umowę. – Oczy taty błyszczały jasno. Uroda dziennikarki, a może jej zuchwalstwo, ożywiła go tak, jak strumień wody ożywił kwiaty jego ukochanej żony.

Ruth uśmiechnęła się.

– I cóż by to była za umowa, panie Carmody?

– Może mi pani zadać trzy pytania i umieścić odpowiedzi w swoim artykule. Co pani na to?

Byłem zachwycony, Ruth Crawford chyba też.

– Cudownie – odparła.

– Proszę pytać, młoda damo.

– A ja proszę o chwilę na zastanowienie. Wolalabym nie działać pod ciśnieniem.

– Rozumiem, chociaż odpowiednie ciśnienie może zamienić węgiel w diamenty.

Nie spytała, czy może go nagrywać, co było moim zdaniem rozsądne. Przez chwilę stuknęła palcem wskazującym w usta, utrzymując kontakt wzrokowy z moim tatą.

– No dobrze, pytanie pierwsze – odezwała się w końcu. – Za co najbardziej cenił pan LaVerdiere’a?

– Za lojalność. Solidność – odparł bez zastanowienia. – Co pewnie sprowadza się do tego samego albo prawie tego samego. Mężczyzna może się uważać za szczęściarza, jeśli ma choć jednego dobrego przyjaciela. Kobiety mają ich chyba więcej... Ale pani wie to pewnie lepiej.

Ruth zastanawiała się nad tym.

– Myślę, że mam dwie przyjaciółki, którym powierzyłabym swoje najgłębsze sekrety – powiedziała po chwili. – Choć nie... trzy.

– Więc ma pani szczęście. Następne pytanie.

Zawahała się, bo pewnie miała ich przynajmniej ze sto, a ta krótka rozmowa przez płot, do której się nie przygotowała, była jej jedyną szansą. Uśmiech taty – nie do końca dobrotliwy – świadczył o tym, że doskonale wiedział, w jakiej postawił ją sytuacji.

– Czas ucieka, panno Crawford. Za chwilę będę musiał wrócić do środka i dać odpocząć starym kościom.

– Dobrze. Jakie jest pana najlepsze wspomnienie z czasów, które spędził pan z przyjacielem? Chciałabym też poznać to najgorsze, ale wolę zachować ostatnie pytanie.

Tata się roześmiał.

– Odpowiem pani na oba, bo podoba mi się pani upór, a poza tym miło na panią patrzeć. Najgorsze wspomnienie to wyjazd do Seattle, zapewne ostatnia tak daleka podróż w moim życiu, kiedy patrzyłem na trumnę ze świadomością, że w środku leży mój stary przyjaciel. Jego utalentowana ręka znieruchomiała na zawsze.

– A najlepsze?

– Polowania w Trzydziestomilowym Lesie – odparł natychmiast. – Wybieraliśmy się na nie zawsze w drugim tygodniu listopada, odkąd byliśmy nastolatkami aż do czasu, gdy Butch dosiadł swojego stalowego rumaka i wyruszył na złoty zachód. Mieszkaliśmy w czasie tych polowań w małej leśnej chacie, którą zbudował mój dziadek. Butch twierdził, że to jego dziadek położył na niej dach, co może było prawdą, a może nie. Stała jakieś pół kilometra za strumieniem Jilasi. Mieliliśmy starego jeepa willysa i do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego czy pięćdziesiątego piątego przejeżdżaliśmy nim po drewnianym moście, zostawialiśmy go przy strumieniu i szliśmy do chaty z plecakami i strzelbami. Potem baliśmy się jeździć po tym moście, bo podmyły go trochę powódzie, więc zostawialiśmy samochód po stronie miasta i przechodziliśmy po moście na piechotę.

Westchnął i zapatrzył się w dal.

– Po tym, jak ta firma od zapalek, Diamond Match – ciągnął po chwili – wycięła drzewa w miejscu, gdzie było gospodarstwo Nononana, z Trzydziestomilowego Lasu zrobił się Dwudziestomilowy Las. Ale i tak było go jeszcze wystarczająco dużo, a dwaj chłopcy... a potem dwaj młodzi mężczyźni... mieli się gdzie włóczyć. Czasami udawało nam się ustrzelić jelenia, raz indyka, który okazał się twardy i kwaśny, ale polowanie było w tym wszystkim najmniej ważne. Po prostu lubiliśmy być sami przez te pięć, sześć czy siedem dni. Pewnie wielu facetów jedzie do lasu, żeby pić i palić, może wybrać się na rundkę po barach i zaliczyć jakąś panienkę, ale my nigdy tego nie robiliśmy. Owszem, coś tam popijaliśmy, jeśli jednak zabraliśmy ze sobą butelkę jacka daniel'sa, wystarczała nam na cały tydzień.

Zwykle zostawała jeszcze odrobina i wlewaliśmy ją do ogniska, żeby zobaczyć, jak ogień strzela w górę. Rozmawialiśmy o Bogu, o Red Soxach, o polityce i o tym, jak świat może spłonąć w wyniku eksplozji nuklearnej. Pamiętam, jak pewnego razu siedzieliśmy na pniu zwalonego drzewa, kiedy na bagna poniżej wszedł największy osiemnastak, jakiego w życiu widziałem, może największy, jaki kiedykolwiek żył, przynajmniej w tej okolicy. Szedł sobie spokojnie i w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Podniosłem strzelbę, ale Butch położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Nie. Proszę, nie. Nie tego”. Więc nie strzeliłem. Wieczorami rozpalaliśmy ogień w kominku i wypijaliśmy jacka daniel’sa. Butch przynosił blok i rysował. Czasami prosił mnie wtedy, żebym opowiedział mu jakąś historię, a ja to robiłem. Jedną z tych opowieści stała się potem moją pierwszą książką, *Burzą z piorunami*.

Widziałem, że Ruth stara się to wszystko zapamiętać. To było dla niej cenniejsze od złota, dla mnie zresztą też. Tata nigdy nie opowiadał o tamtej leśnej chacie.

– Pewnie nie czytała pani eseju zatytułowanego *Come Back to the Raft Ag’in, Huck Honey*, prawda?

Ruth pokręciła głową.

– Nie? Jasne, że nie. Nikt już nie czyta Leslieego Fiedlera, a szkoda. Był skandalistą, zabójcą świętych krów, i właśnie dlatego tak dobrze się go czytało. W tym esejku pisał, że homoerotyzm był wielką siłą napędową amerykańskiej literatury, że opowieści o męskiej przyjaźni były w istocie opowieściami o tłumionym pożądaniu seksualnym. Bzdura, oczywiście, która w istocie więcej mówiła o samym Fiedlerze niż o męskiej seksualności. Bo... dlaczego? Czy ktoś z was może mi powiedzieć?

Ruth wyglądała tak, jakby się bała, że jeśli się odezwie, zakłęcie prysnie (zakłęcie, które mój ojciec rzucił nie tylko na nią, ale też na siebie), więc odpowiedziałem:

– Bo to płytkie. Zamienia męską przyjaźń w sprośny żart.

– Uproszczenie, ale celne. – Tata skinął głową. – Butch i ja byliśmy przyjaciółmi, nie kochankami, i podczas tych dni spędzonych

razem w lesie cieszyliśmy się tą przyjaźnią w jej najczystszej postaci. Co jest rodzajem miłości. Nie oznaczało to, że kochałem żonę mniej albo że Butch wołał te wypadki od swoich wypraw do miasta... miał bzika na punkcie rock and rolla, którego nazywał bop... ale w Trzydziestomilowym Lesie zniknęło całe zamieszanie, rozgardiasz i zgiełk zwykłego świata.

– Trzymaliście się blisko – powiedziałem.

– Owszem – odparł, po czym zwrócił się do Ruth: – Czas na pani ostatnie pytanie.

Nie wahala się ani sekundy.

– Co się stało? Jak doszło do tego, że przestaliście być obywatelami Harlow i zostaliście obywatelami świata? Ikonami kultury?

Coś zmieniło się w jego twarzy, a ja przypomniałem sobie słowa, które matka wypowiedziała, gdy zadzwoniła do mnie do akademika: „Twój ojciec wygląda tak, jakby zobaczył ducha”. Jeśli rzeczywiście tak było, to chyba znów go widział.

Po chwili uśmiechnął się i duch zniknął.

– Byliśmy po prostu dwoma utalentowanymi skubańcami – powiedział. – I na tym poprzestałmy. A teraz muszę wracać do środka i schować się przed tym palącym słońcem.

– Ale...

– Nie – przerwał jej tak szorstko, że się wzdrygnęła. – Skończyliśmy.

– Myślę, że dostałaś więcej, niż przypuszczałaś – zwróciłem się do niej. – Powinnaś być zadowolona.

– Pewnie będę musiała. Dziękuję, panie Carmody.

Tato podniósł artretyczną rękę. Zaprowadziłem go do domu i pomogłem mu wejść na schody.

Ruth Crawford stała jeszcze przez chwilę przy płocie, a potem wsiadła do samochodu i odjechała. Nie zobaczyłem jej już nigdy więcej, ale przeczytałem jej artykuł o tacie i wujku Butchu. Był wesoły, pełen zabawnych anegdot, choć nie dotyczył sedna sprawy. Ukazał się w czasopiśmie „Yankee” i miał dwa razy większą objętość niż większość zamieszczanych tam artykułów. Jestem pewien, że na-

prawdę dostała dwa razy więcej, niż przypuszczała, gdy wyjeżdżając z miasta, zatrzymała się przy naszej bramie. Zamieściła to wszystko pod nagłówkiem *Dwóch utalentowanych skubańców*.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).